

KS. DR ANTONI JÓZEF GOŚCIMSKI

Wspomnienie

Matka moja z domu Plucińska pochodziła z Wielkopolski, z zaboru pruskiego. Ojciec Zygmunt z Kaliskiego, z zaboru rosyjskiego. Poznali się w Zakopanem. Ślub zawarli w 1907 r. Zamieszkali w zakupionym majątku Kobylniki w pobliżu Kalisza. Tu urodziła się moja siostra Alicja (1908-1991) i siostra Zofia (1910-1944), a w końcu ja Antoni Józef w dniu 3 kwietnia 1912 r., ochrzczony w maju w parafii Góra.

Niestety, ojciec uległ ciężkiemu wypadkowi jadąc konno. Został częściowo sparaliżowany. Najpierw długie leczenie w szpitalu, potem rekonwalescencja. Rodzice sprzedali Kobylniki i razem z dziećmi wyjechali na dalszą kurację do Szwajcarii. Kilka miesięcy mieszkaliśmy w Montreux nad jeziorem Genewskim.

W drodze powrotnej do kraju w lipcu 1914 r. zaskoczył nas na terenie Niemiec wybuch I wojny światowej. Ojca jako obywatela rosyjskiego natychmiast aresztowano. Po wielkich staraniach udało się go zwolnić, pod warunkiem zamieszkania w centrum Niemiec i stałego meldowania na policji. Przez rok mieszkaliśmy w Łądku Zdroju w Sudetach. Potem trzy lata w Kołobrzegu nad morzem. W Łądku urodziła się najmłodsza siostra Wanda (1914-1998).

Do kraju powróciliśmy dopiero w 1918 r. Wtedy rodzice ku wielkiemu zaskoczeniu dowiedzieli się, że dziadkowie, obiecany memu ojcu majątek rodzinny Rodzały, przepisali na jedną z jego sióstr. Ojciec miał tylko otrzymać spłatę pieniężną. Do końca życia miał o to wielki żal. A z wykształcenia i zamiłowania był rolnikiem.

Rodzice z nami zamieszkali w Poznaniu i tu pozostali do 1939 roku. Ojciec przez wiele lat był dyrektorem firmy rolniczej. Po jej zlikwidowaniu objął administrację dużego majątku Kobyle Pole pod Poznaniem, własność Mysielskich.

Pierwsze nauki miałem w domu od zmieniających się korepetytorów studentów. Po ukończeniu 9 lat w 1921 r. zapisano mnie do szkoły. Było to znane w Poznaniu, ośmiolletnie gimnazjum im. Karola Marcinkowskiego. Gmach był bardzo piękny, wybudowany przez Niemców. Ogromny dziedziniec, osobny budynek sali gimnastycznej. Klasy przestronne, korytarze duże. Bez względu na pogodę na każdą przerwę trzeba było wybiegać na dwór. Żadnych pantofli do szkoły nigdy nie nosiliśmy. Profesorami byli tylko mężczyźni, gimnazjum wyłącznie dla chłopców.

Początki były dla mnie trudne, potem coraz łatwiej. Przedmioty matematyczne szły mi bardzo dobrze, humanistyczne, języki – marnie. Do klasy maturalnej chodziliśmy w krótkich spodenkach, pończochach. Długie spodnie w tych czasach nosiły tylko dzieci biedoty miejskiej lub wiejskiej. Jednej zimy wziąłem się, że będę chodził z gołymi kolanami w tyrolskich pończochach. Wypadło na wyjątkowo mroźną zimę w 1929 r. Profesorowie łamali ręce nade mną, zapowiadali reumatyzm. Nie sprawdziło się. Był ścisły obowiązek chodzenia w czapkach rogatywkach o barwach tej szkoły. Ze szkołą nie chodziliśmy do kina czy teatru, rzadko na wycieczki. Natomiast był zwyczaj zadawania dużo do pracy domowej. Gimnastykiem byłem słabym, w piłkę nożną zupełnie nie grałem. Natomiast byłem bardzo dobry w szermierce na szable i w grze tzw. Palancie. Prywatnie od dziecka grywałem w tenisa.

Nie miałem roweru, nie byłem harcerzem ani ministrantem. Na wakacje wyjeżdżałem z rodzicami nad morze lub w góry. Często na wieś do krewnych, i to było najmilej. Od małego chłopca bardzo dużo czytałem. Chyłkiem wyciągałem z biblioteki rodziców książki, dozwolone i nie dozwolone. Do późna w nocy czytałem pod kołdrą w świetle latarki. Miałem własny obszerny pokój, ale obok pokoju rodziców.

Zawarłem przyjaźń z kilku kolegami klasowymi, synami profesorów uniwersytetu. Przyjaźń po szkole przetrwała długo. Obecnie nikt już nie żyje.

Maturę zdałem w maju 1930 r. Z zamiłowania chciałem iść na rolnictwo. Rodzice namówili mnie na studia prawne. Trwały cztery lata. Nie było egzaminu wstępnego. Rozpoczęło blisko tysiąca. Nie było obowiązku chodzenia na wykłady czy seminaria. Nikt tego nie sprawdzał. Indeksy profesorowie podpisali hurtem. Terminy egzaminów były imiennie wyznaczone. Zdawało się wszystkie przedmioty jednego dnia. Materiał obowiązujący w każdym z nich obejmował prawie tysiąc stron. Na pierwszym roku było takich przedmiotów pięć. Toteż wielu od razu odpadło. Na czwartym roku kończyło nas około 100. Drugie 100 dociągnęło w następnych latach, a więc 20 % rozpoczynających. Profesorami byli wybitni naukowcy i poziom wykładów był wysoki, ale ujmowany raczej praktycznie, nie z myślą kształcenia uczonych. Siadałem w pierwszych ławkach naprzeciw profesora, aby mnie zapamiętał. To ułatwiało egzamin. Od młodości byłem przebiegły, a może po prostu dobrym psychologiem.

W okresie karnawału cała młodzież bawiła się i to do rana. Po kilka bali tygodniowo, nie licząc prywatnych przyjęć. Należałem do ekskluzywnej korporacji „Corona” Był to raczej klub towarzyski. Na nasze bale jeżdżali się rodzice z pannami z całej Polski.

Tytuł magistra z prawa cywilnego uzyskałem w 1934 r. na podstawie pracy: *Początki dowodu na piśmie*, napisanej na seminarium z procedury cywilnej pod kierunkiem prof. Stelmachowskiego. Nie pisało się wówczas specjalnych prac dyplomowych. W toku lat studiów wykonywało się tylko prace seminaryjne. Moje prace chwalili profesorowie. Zaraz po studiach musiałem stanąć przed Komisją Wojskową. Byłem słaby i mizerny. Lekarz chciał mnie zwolnić. Uprosiłem go, aby dał mi kategorię „A”. Wiedziałem, że to dla mnie ostatnia okazja nabycia tężyzny i zdrowia. Musiałem się jednak zgodzić na służbę w piechocie. gdzie uzyskał magisterium w 1934 r.

Od września 1934 r. rozpocząłem jednoroczną służbę w podchorążówce w Zambrowie. Nie było mi łatwo, ale dla zdrowia bardzo się przydało. Trafiłem do kompanii miłego kapitana, życzliwego dla wszystkich, nie wymagającego niepotrzebnego drylu wojskowego. Ceniąc to przy popisach czy defiladach, wysilając wszystkie siły, zbieraliśmy pochwały, a dowódca nagrody.

Po powrocie z wojska w 1935 r. rozpocząłem aplikanturę w kancelarii adwokackiej. Przygotowywałem pisma procesowe, czasami wielostronne traktaty prawne. W miarę lat występowałem w sądach. Zapowiadałem się na dobrego adwokata. Do wojny odbyłem cztery lata aplikantury. Pozostał rok, potem egzamin. Dużo już zarabiałem. Dodam, że zostałem wybrany prezesem Związku Młodych Prawników z terenu województwa poznańskiego i bydgoskiego. W 1945 r. otrzymałem wpis na listę adwokatów w Radzie Adwokackiej w Poznaniu. Miałem już inne plany, ale była to moja osobista satysfakcja i zamknięcie pewnego okresu życia.

Losy wojenne wymagałyby obszerniejszego opisu. Powiem krótko: w bitwach nie brałem udziału. Cofaliśmy się na wschód, aby tam się bronić. Niestety weszli Sowieci. Na

początku października 1939 r. w lasach koło Biłgoraju dostaliśmy się do niewoli sowieckiej. Przez dwa dni o głodzie i chłodzie pędzono nas na wschód. Rozważałem z innymi oficerami co robić. Prawie znad granicy wykorzystałem okazję. Uciekłem z konwoju, przebrałem się i od dworu do dworu – wszędzie przyjmowany życzliwie, dotarłem do Żułowa koło Krasnystawu. Tu zastałem ewakuowane z Lasek siostry zakonne, personel i niewidomych. Zostałem tam na lata. Był to duży majątek ofiarowany kiedyś Matce Elżbiecie Czackiej. Każdy z nas musiał coś robić. Mnie przypadła opieka nad lasem. Było go ponad 500 ha. Oficjalnie zostałem zgłoszony do władz niemieckich jako leśniczy. Było dwóch gajowych i zawsze kilku, a czasami kilkudziesięciu pracowników. Niemcy nakładali ogromne kontyngenty, potrzebny był opał dla dworu i pracowników folwarcznych. Roboty nie brakowało. Niestety, trzeba było dużo wycinać, a bardzo polubiłem ten las.

W Żułowie ciągle byli księża. Zasadniczo ks. Kornilowicz, z którym się bardzo związałem i który darzył mnie serdeczną przyjaźnią. Miesiącami zastępowali go ks. Jan Zieja lub ks. Stefan Wyszyński. Też mnie bliżej poznali i zaprzyjaźnili się. Wiedzieli o moich planach kapłaństwa.

Teraz o moim powołaniu do kapłaństwa. Pierwsze myśli o kapłaństwie zaczęły się nasuwać od 1935 roku i co pewien czas wracały. Od matury prowadziłem swobodne – wyraźnie złe – życie, jak cała tzw. złota młodzież ówczesnych czasów. Miłostki szybko zmieniałem, z zapalem grałem w brydża, przy okazjach piłem dużo (oczywiście dobrych gatunków). Teatr, kino, kawiarnia, taniec – to było zawsze. Myślałem poważnie o małżeństwie i to bardzo konkretnie. Jedna mi powiedziała, że już jest zaręczona. Druga, nim się zdecydowałem, wyjechała za granicę. Obie były bardzo dobrymi partiami. Ostatecznie nie wyszły za mąż. Po wojnie dochodziły mnie wieści, że ciężko muszą pracować.

Ciągle wracały myśli o kapłaństwie. Dwa razy byłem na rekolekcjach zamkniętych w majątku państwa Potworowskich w Goli. Zapisalem się do sodalicii Mariańskiej Panów, do Konferencji św. Wincentego à Paulo, zacząłem korzystać z obszernego mszalika i codziennie być na Mszy świętej. Pracowałem w Akcji Katolickiej. Opiekowałem się młodzieżą z baraków dla bezdomnych. To były lata dziwne, miesiące dobre, miesiące złe. Decyzja zapadła w czasie największej klęski, gdy wszystko się załamało we wrześniu 1939 r. Postanowiłem, że jeżeli szczęśliwie przeżyję wojnę, zostanę księdzem. Pomyślałem: „chyba mnie Panie Boże teraz dogoniłeś”.

Ks. Stefan Wyszyński zawiadomił mnie, że Seminarium Warszawskie organizuje tajne studia dla alumnów, i że zgłosił moją kandydaturę. Jesienią 1943 roku zacząłem chodzić na wykłady w klasztorze Pań Kanoniczek na Placu Teatralnym w Warszawie. Powstanie wszystko przerwało.

W czasie Powstania zostałem skierowany do szpitala Maltańskiego przy ul. Senatorskiej, jako straż przeciwpożarowa. Potem jako sanitariusz do szpitalika przy ul. Elektoralnej. Stąd zagarnęli nas Niemcy i umieścili w obozie w Pruszkowie. Szczęśliwie trafiłem na transport idący do Westfalii. Przepracowałem ciężko aż do końca wojny. Po powrocie do Polski, w 1945 r., zgłosiłem się do Seminarium we Włocławku, gdzie profesorem był ks. Stefan Wyszyński. Od października rozpocząłem studia. Zapisano mnie na trzeci rok – wtedy seminarium trwało tylko pięć lat. Święcenia otrzymałem 13 czerwca 1948 r. Byłem wikariuszem na kilku parafiach. W Kurii Włocławskiej objąłem wydział nauki religii, byłem wizytatorem w szkołach. W 1959 r. przeszedłem do diecezji warszawskiej i na życzenie ks. Prymasa Stefana Wyszyńskiego wróciłem do nauki prawa, tym razem kanonicznego.

W 1961 r. rozpocząłem studia na Wydziale Prawa Kanonicznego ATK. Tamże uzyskałem magisterium prawa kanonicznego w 1964 r. na podstawie pracy: *Historia historiografii prawa kanonicznego w Polsce w latach 1918-1939*, (ss. 93), pod kierunkiem prof. J. Subery. Doktorat prawa kanonicznego otrzymałem na ATK w 1968 r. po przedstawieniu rozprawy: *Bigamia w kanonicznym prawie karnym, kan. 2356* (ss. 218), napisanej pod kierunkiem prof. M. Myrchy. W latach 1968-1974 prowadziłem na ATK wykłady zlecone z prawa cywilnego – procedurę cywilną i karną, prawo państwowe, podstawowe pojęcia prawne. W latach 1973-1989 prowadziłem wykłady z prawa kanonicznego w Metropolitalnym Seminarium Warszawskim.

Od 1961 r. pracowałem w Sądzie Duchownym, a od 1970 r. jako radca prawny w Kurii Metropolitalnej. Byłem członkiem Rady Prymasowskiej Budowy Kościołów, egzaminatorem księży, cenzorem książek katolickich. Obecnie jestem emerytem, seniorem.

Pełna bibliografia publikacji własnych została zamieszczona w *WST* 2(1984) 200-201; 13(2000), 242-244.

Źródła drukowane

1. J.R. BAR, *Polscy kanoniści (wiek XIX i XX)*, Warszawa 1981, t. 1, 149-150.
2. *WST* 3(1984), 200-2001; 13(2000), 242-244.
3. A. GOŚCIMSKI, *Wspomnienia osobiste, lata 1935-1977*, Warszawa 2000, ss. 120, (mała poligrafia).
4. A. GOŚCIMSKI, *Wspomnienia profesora Seminarium Warszawskiego (1973-1989)*, Warszawa 2000, ss. 29, (mała poligrafia).
5. A. GOŚCIMSKI, "Nauka prawa kanonicznego w Seminarium 1945-1989", *WST* 8(1995), 305-314.
6. W. GOŁĄB, "Alicja Gościmska nie żyje", miesięcznik niewidomych *Pochodnia* 1991, nr 4, 31-33.
7. P. LATAWIEC, "Śp. Maria Wanda Gościmska (1914-1998)", *Kronika ATK* 1999, nr 2-3, 135-137.